



Wydawczyni i kierowniczka redakcyi: **Helena Hempel** w Cieszynie.

Wychodzi **2 razy** na miesiąc. — Kosztuje rocznie **1 złr.** półrocz. **50 ct**

Zycie rodzinne.

W związku małżeńskim mężczyzny z kobietą, jak wiadomo, więcej coś leży, niż sam szacunek i cześć wzajemna. Uczucie wspólnej miłości tak ma być silnem, aby go żadne ciosy i burze świata nie zgładziły. Małżonek, wchodząc pod nowy dach który, sam wytworzył, miłować musi nową towarzyszkę życia, która pod tym dachem roznieca nowe ognisko domowe. Życie rodzinne wprawdzie jest pełnem trosk i cierni, ale przynosi owoce, jakich żadne inne nie rodzi, a tak zespolone jest z naturą człowieka, że jeśli dojdzie on dojrzałego wieku, a nie jest otoczony rodziną, to rzadko się zdarza, aby ustrzegł się popełniania głupstw i występków. Wyjątek w tem stanowią tylko ludzie, których wyraźnem powołaniem w życiu jest stan bezżenny.

Człowiek zajęty wyłącznie powodzeniem interesów, nabiera szorstkiego i zimnego charakteru. Zajmuje się tylko własną korzyścią, czycha na zysk i czatuje, aby go drudzy nie wyprzedzili. Przez to staje się samolubem podejrzliwym i nie zawsze szlachetnym. Najlepszą obroną przeciw takiemu zachwianiu serca, jest dom i rodzina, bo wśród swoich serdecznych, człowiek zapomina o chciwości, umysł jego i serce odpoczywają i odświeżają się w obcowaniu z nie-

winną działość i czuła, kochającą małżonką. Tak samo się ma z wydalonym z domu na czas jakiś żołnierzem, który w ciężkim trudzie swego zawodu i ocierając się o marsowatych towarzyszy, stwardniał w sercu i dopiero od ciepła rodzinnego topnieć mu zaczyna lodowata jego powłoka. Możnaby powiedzieć, że pogoń za zyskiem, lub pobyt wśród ludzi obojętnych, serce w pustynię zamienia, a miłość małżeńska, serce to, jak twierdzą, silną załogą wojska wzmacnia. —

Najlepiej poznasz wartość człowieka z tego, jak on w domu, wśród rodziny się zachowuje, bo tam jego właściwy charakter, niczem nie krępowany, rozwija się i okazuje w całej prawdzie. Jeśli w rodzinie miłość nie jest główną podstawą, tam będzie z jednej strony samowola, z drugiej swary, skrytość i brak ufności. —

Dobłą rodzinę nazwał ktoś dobrze „warsztatem wiary chrześcijańskiej“. Nie słyhać tam żadnego narzekania, żadnego złego słówka, nikt nie próżnuje, każdy wypełnia powinność swą gorliwie, spokojnie i z radością.

Mąż, którego miłość zdwoiła się przez pożycie w rodzinie, nie ogranicza jednak swoich uczuć na tem małym kółku, ale miłość ta rozszerza się po za rodzinę i jak słońce, rozlewa promienie swe dalej, ku współbraciom i na świat cały. Taka miłość, to ogień rozżarzony w piersi męskiej, przez iskrę, z innego serca płynącą. Gorzeje ona i wzmacnia się, dopóki nie rozgrzeje i nie rozplomieni innych, a przez nich świat cały i przyrodę pięknym blaskiem oblewa.

Dom jest jak szkoła, w której mąż się statkuje i prostą drogą uczy się postępować stale. Jest to uciecha dla dobrej małżonki, bo dom jest jej królestwem i jej światem, w którym panuje ona przez miłość, łagodność i rozsądek. Szczęśliwy ten, który znajdzie żonę wielkoduszną! Z taką znajdzie on zadowolenie i duchowy spokój. W niej mieć będzie najlepszego doradcę, bo roztropność i życzliwość lepiej nim pokierują, niż własny jego bezsilny rozum, który mógłby go na błędne ścieżki poprowadzić.

Wierna żona, to kolumna, na której w dniach niedoli, śmiało oprzeć się można, bo w niej zawsze, w szczęściu, jak w nieszczęściu, mąż znajdzie pociechę i współzucie. W młodości jest mu rozweseleniem i ozdobą życia, w ostatnich latach, gdy człowiek już myśli o przyszłości nie żyje, lecz chwila obecna go zajmuje, — żona taka jest niestrudzoną, przyjazną pomocniczką.

Jeden szczęśliwy ojciec rodziny, zwykł był powiadać: — „Gdy wejde pod mój dach, wszelka moja troska niknie natychmiast.“

Stare przysłowie powiada: „Rannego wstania, wczesnego ożenienia nikt jeszcze nie żałował.“ — Potwierdza ono to, cośmy po-

wyżej mówili, że życie rodzinne chroni człowieka od zejścia na bezdroża, na które we wczesnej młodości tak łatwo zbłądzić może.

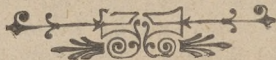
Co do usposobienia w żywoci, lub powolności charakteru, mogą zachodzić między małżonkami różnice, ale uczucie i przekonania muszą być zawsze jednakie, aby związek był szczęśliwym. O dobranem małżeństwie, tak mówią: — „Dwie dusze, a jedna myśl, dwa serca, a jedno bicie.“ —

Wielu młodzieńców i dziewcząt znajduje zawód w małżeństwie, a to dlatego, że się za wiele od niego spodziewali, lub też, że przystępują do tego aktu bez rozwagi i wyrozumiałości. Wyobrażają sobie nieraz stan małżeński, jako rzecz, której drugiej podobnej na świecie nie ma. Gdy więc zajrzy im w oczy twarda rzeczywistość życia z troskami i niepokojami, budzą się nagle, jakby ze snu jakiego i nie umieją powiązać swych nadziei, z tem, co ich spotkało.

Dobroć żony, nie na jej rozumie, ale na uczuciu więcej się zasadza; serdeczna jej tkliwość, więcej jest ujmującą, niż głęboki rozum, tak samo, jak wolimy róże czerwone, niż białe, bo się jakieś cieplejsze i wdzięczniejsze wydają.

Zasadą szczęścia małżeńskiego, którą można „złotą“ nazwać jest ta:

„Znoś i pobłażaj.“ — Mąż i żona muszą sobie ciągle czynić ustępstwa, ścierpieć nie jedno, a jednocześnie hamować każde, samego siebie. Chociaż nie trzeba być ślepym na ułomności drugiej strony, trzeba je uwzględniać uprzejmie, cierpliwie, w milczeniu słuchać objawów gniewnego usposobienia i drażniącą złośliwością nigdy go nie podsycać. Wielka prawda zawarta jest w tem zdaniu: „Łagodność gniew rozbraja.“ — Niewiasta tkliwa i wyćwiczona w cierpliwości, doświadczy, ile jest mocy w dobroci i pobłażaniu. Dobroć jest bronią, która najprędzej złe zwycięża. W obec niej, złość i zawziętość umilka i zawstydzają się, a z czasem gaśnie nieraz bezpowrotnie, bo nie już jej ognia nie rozdmuchuje. Cześć tej kobiecie, która, poskromiwszy żal za niezasłużone czasem wyrzuty ze strony męża jej czynione, przeniesie w milczeniu ból, który jej w sercu wzbiera i rozdaśnemu małżonkowi, łagodną twarz okazując, ani jednym słowem namiętne, lub szyderezem nie dotknie jego pychy. Takim postępowaniem najprędzej przywiedzie męża do opamiętania, a przyjdzie czas, że on sam przyzna jej zasługę swego nawrócenia i wdzięczność dla niej najżywszą zachowa.



Róža Saronu.

Legenda.

W czasach, gdy Syn Boży, nieznany jeszcze światu, przebywał w Nazarecie, jako dzieciątko Maryi, żony ubogiego cieśli Józefa z rodu Dawidowego, pewnego razu w północnej stronie Ziemi świętej, zwanej Galileą, gdzie wzgórza, wznoszące się od jeziora Genezareth, dosięgłszy wierzchołkami góry Tabor, zniżają się znów ku dolowi i schodzą w piękną dolinę, przechadzali się nad brzegami bystrego górskiego potoku, dwaj żydowscy uczeni.

Widok był tu precudny; strumień huczał, zraszając rosnące nad brzegiem oleandry, podnoszące do góry pełne różowego kwiecia korony. Deszcz kilkudniowy powiększył wszystkie potoki i strumienie, które płynęły teraz pełną falą.

Ziemia w dolinie już obeschła. Odświeżona ulewami, ubrała się, jakby w godową szatę ubraną w maliny, liliowe i różnobarwne maki. Tu i owdzie przemknęło stado kóz dzikich, lub rój pszczoł wyleciawszy z lasów oliwnych, z brzękiem obsiadł koronę palmy daktylowej, lub jedno z drzew figowych, rosnących w dolinie.

Dwaj hebrajczycy, żadnej nie zwracali uwagi na te piękności. Tak byli uczonością przejęci, że uważali podziwianie bożej przyrody za marnowanie czasu na drobnostki. Umysł ich wysuszony był słęczeniem nad wszystkimi księgami, jakie posiadała ziemia Kanaan.

Każdy z nich miał godność rabina i każdy nauczał w jednej z wyższych szkół, których wiele było w nadjordańskiej krainie. Ale jeden z nich głosił naukę Faryzeuszów, drugi Saduceuszów, a te dwie nauki różniły się wielce między sobą. Dlatego też ich rozmowa przechodziła chwilami w gwałtowną, wrzaskliwą sprzeczkę, która mąciła ciszę przyrody na stoku góry Tabor, której stopy obmywa bystry potok Saronu. Nawet szum owego potoku, szybko biejącego, nie zdołał gwaru kłótni ich zagłuszyć.

Cała ta sprzeczka była tylko udaniem, obliczonem na to, aby słuchający, widzieli gorliwość, z jaką każdy z nich broni swoich zasad; — jednak, gdy ujrzeli, że nikt ich spęstrzedz nie może, roześmiali się swobodnie, poklepali przyjaźnie po ramieniu i usiedli obaj na sterczącym odłamie skały i czas jakiś milczeli, jednak nie długo. Zaczęli zrazu poważną rozmowę, jednak w krótko, nawykli do gorących rozpraw, znów się głośnie kłócić zaczęli.

Rozmowę przerwał im nagle rozziewający krzyk dziecka. Bawiąc się na brzegu muszlami i kamyczkami sięgnęło po płynący z falą opadły owoc granata i wpadło do wody. Nurt wody uniósł wątłą postać dzieciny, pogrążając ją coraz więcej w zimną głębinę.

Obaj rabini jednocześnie się zerwali, aby dziecko ratować, lecz za chwilę odezwały się w każdym, skutki nauk, jakimi byli przesiąknięci. Jeden z nich rzekł, zatrzymując się:

— Nie, pucóż idę, aby je ratować? Kto wie, co czeka to dziecko? jakich boleści i utrapień ma doznać w życiu. Czyż nie lepiej dla niego, aby ginęło teraz, dopóki duch jego nie zna nic, prócz radości!

Drugi mu przerwał składając ręce: — Cóż za brak miłosierdzia u ciebie! Byłaby to hańba dla ludzkości, gdyby takie zasady wyznawano. Kto wie, co pięknego i szlachetnego dokonać może kiedyś to dziecko!

Słowa jego tak podziały na towarzysza, że nie znaleźli słów na od powiedz. Sam więc zaczął działać. Postąpił na sam brzeg wezbranego strumienia, chwyciwszy się gałęzi oliwnego drzewa, która daleko nad wodę sięgała. Pragnąc nieść ratunek dziecięciu, nie zauważył nawet, że w przybrzeżnym mule mokną nie tylko nowe jego sandały, ale nawet i nogi powyżej kostek.

Co jednak z początku mogło być łatwem, teraz pokazało się niemożliwem do wykonania. Wystraszone dziecię uchwyciło się wprawdzie kurczowo krzewu nadbrzeżnego, lecz mimo to, posuwało się coraz dalej i głębiej, po śliskich wodorostach. Gałązka wymknęła mu się z drobnej dłoni — i popłynęła z wodą. Po chwili mała główka zniknęła z powierzchni.

Dziecię byłoby utonęło na pewno. W tem zjawił się rybak, czy też biedak jakiś, żywiący się owocem dzikich jabłoni i miodem leśnym, — nie wiadomo kim był, dość, że nie był filozofem i nie należał do żadnej ze szkół, które przedstawiali dwaj mędrcy. Zrzuciwszy opończę, skoczył bez namysłu w wodę, a trzymając dziecię silnie lewą ręką, prawą walczył całą siłą przeciw bystremu prądowi. Dotarł szczęśliwie do brzegu, na którym stali rabini, bo tam był tylko przystęp dogodny i podał dziecię temu, który dotąd stał tam jeszcze, trzymając się oliwnej gałęzi.

Sam jednak, chcąc stanąć na brzegu, uczuł, iż rozmokła ziemia usuwa się pod jego ciężarem. Upadł na wznak, a że na jego ratunek nikt już nie pospieszył, woda go poniosła i po jakimś czasie, wyrzuciła nieopodal na brzeg skalisty martwe już ciało.

Rabini zaczęli z sobą rozmowę o zaszłym zdarzeniu, nareszcie wraz z dzieckiem zabrali się z powrotem do Nazaretu, sprzecząc się znów po drodze, w jakiej nauce ma być wychowane, gdyby się ojciec jego nie znalazł: czy według szkoły Faryzeuszów, czy Saduceuszów?

Nagle, dziecię poczęło rósć w ich oczach i zmieniło się przed nimi w męża ze światłością nad głową, na której cierniowa korona, tak głęboko wbijała swe kolce, że blade czoło krwią spłynęło. Z otwartej w boku rany, krew także płynęła strumieniem. Mędrcy tak byli biegłymi w księgach i proroctwach, że odrazu poznali, kto im się objawił. Pierwszy z nich zawołał z przechwałką:

— Czyż nie miałem słuszności? Nie lepiejże byłoby dla Nazareńczyka, aby był zginął dzisiaj? Byłby uszedł wszystkich tych cierpień i katuszy, które go wedle proroctw czekają, a które on sam poświadczył, objawiając się przed nami w takiej postaci! —

— O, nie bluźnij! — zawołał drugi. — Czyż razem z nimi nie byłoby zginęło i to, co te bóle i cierpienia przynieść ma!...

Jezus odwrócił się od nich, poszedł dalej i zatrzymał się nad zwłokami ubogiego rybaka, który nie troszcząc się o to, czy jego czyn przyniesie szczęście, czy nieszczęście, poszedł tylko za głosem serca. Z oczu Odkupiciela spłynęła łza na miejsce, gdzie przed chwilą biło jeszcze serce i z piersi martwego Galilejczyka wykwił cudny kwiat, zwany „Różą Saronu“. Choć urodzajna niegdyś Galilea i ziemia Kananejska, zamieniły się w pustynię, to różę Saronu, ową pamiątkę cudownego objawienia i litości Jezusowej, można — dziś jeszcze, obficie zbierać w tamtej stronie, gdzie wieniec brzegi potoków.



Częściej, niżli na jawie, Bóg przemawia w ciszy,
Ale na stu, zaledwie jeden Go usłyszy.
Otwórzcie drzwi szeroko do serca swojego,
Jeżeli słodki Jezus zapuka do niego.

Złote ziarenka.

Daremnie się złościsz i przekleństwa ciskasz;
Skargami i kłótnią nigdy nic nie zyskasz.
Niech swar nie powstaje wśród bratniej gromady;
Zgódź się chętnie z każdym i znoś cudze wady.

Kto sam nad sobą panuje,
Łatwo i drugim kieruje.

Zły humor i troska wewnątrz przytłumiana,
Dręczy nieraz bardziej, niż zewnętrzna rana;
Rzuć marną zgryzotę, bo i zdrowia szkoda,
I żadnej pomocy ci ona nie doda.

Płyn, który kiedyś ma się wyklarować,
Musi się burzyć wprzód i fermentować,
Tak i złe z dobrem w ciągłej jest rozterce,
I tylko w walce czyści się twoje serce.

Modlitwa z pilną pracą,
To para skrzydeł boża,
Co niosąc prostym szlakiem,
Strzeże nas od bezdroża.



RADY DOMOWE.



Ptaszki i żaby, jako czyściciele kapusty z gąsienic. Leśnik stał pod lasem, przy swej kapuście. Znajomy jego, przechodząc drogą zawołał: — Przepadła twoja kapusta, — nie widzisz mnóstwa gąsienic, które ją obsiadły? —

— Widzę — odrzekł leśnik, — ale moi skrzydlaci robotnicy w paru dniach uprzątną to robactwo; dlatego posadziłem kapustę pod lasem. —

W kilka dni później, szedł ten sam znajomy znów przez to miejsce i spostrzegł ze zdziwieniem, że ani jednej gąsienicy na grzędzie nie było. Wszystko wybierały leśne ptaszki.

Dobrze też jest sadzić kapustę długą, a wąską grzędą nad rowem, lub potokiem, gdzie są żaby. Wychodzą one wieczorem z wody na brzegi i w nocy polują na te owady. Wiadoma to rzecz z doświadczenia, że wsz stkie gąsienice wybierają, zwłaszcza, jeżeli jest to w miejscu, gdzie nie są od ludzi, lub zwierząt płoszone.

Przeciw gąsienicom w ogrodach warzywnych dobry jest też następujący środek: 20 części gipsu, jedną część kwasu karbolowego, i 4 części palonego wapna, dobrze sproszkowane i zmieszane dokładnie używa się w ten sposób: małą ilością tej mieszaniny posypuje się rośliny, które gąsienice obsiadły, wczesną rano, nim rosa wyschnie, lub też po deszczu. Gąsienice

i inne robactwo po kilkarotnem takim posypyaniu, giną bezpowrotnie.

Prędkie hodowanie szczypiorku czyli trybulki. Młode roślinki nakrywa się szklanką, przez co prędzej rosną, bo broni je to od szybkich zmian powietrza, które są dla nich szkodliwe. Szklanka nie powinna być jednak zbyt mocno wcisnięta w ziemię, bo zupełne oddzielenie roślinki od powietrza przeszkadzałoby jej wzrostowi.

ROZMAITOSCI.

Służba Boża i papieros. Posłuchajcie, jak to jeden palacz w Janowie służył do mszy świętej. Oto podczas uroczystego nabożeństwa w kościele jeden z parafian ze wsi Tr... posługując właśnie do mszy, zamiast podnieść ducha ku Bogu i oddać się rozmyślaniu o ciele Chrystusa Pana, zaczął myśleć o papierosie. Gwałtownie mu się pali; zachciało. Rozumiał, że to zachcianka niestosowna, ale nie umiał jej się oprzeć, nałóg wziął nad nim górę. Doczekawszy św. Komunii kapłana, wybiegł pospiesznie na cmentarz, wyjął z kieszeni krzesiwo, papieros i z upragnieniem go zapalił. Ale trzeba było wnet wracać, więc pociągnawszy dym kilka razy, cisnął papieros na ziemię, a krzesiwo, nie zgasiwszy dobrze knota, wsadził w kieszeń od kurtki watomanej, którą miał pod paltem. Do kościoła wpadł w chwili, kiedy zaczynało się śpiewać suplikacje. Ukłękł więc przy kapłanie i śpiewa „Święty Boże“, a tu mu z za kołnierza na karku wyciska się zrazu cieniułka, potem coraz szersza smuga dymu. On jednak tego nie czuje, tylko śpiewa. Aż ktoś z kłęczących blisko trąca go w łokieć i mówi: „Uciekaj z kościoła, bo się palisz!“ Dopiero posługujący spostrzega, że mu dym wali z za kołnierza. A tu ludzi dokoła jak nabił — ani myśleć o prędkim przedostaniu się z nich. Bieda! co tu robić? Wypadnie może życiem przypłacić ten papieros... Trwoga go ogarnia. Aż przyszło mu do głowy wpaść za ołtarz, gdzie jest kawałek wolnego miejsca. Tu zerwał z siebie palto i kurtkę, i ledwie zdolał rękoma i nogami stłumić ogień, który mógł go żywcem spalić. Szczęście, że wojując tak z ogniem nie podpalił kościoła, albo, co jeszcze prędzej być mogło, nie wszczął popłochu, w którym ludzie uciekający bez pamięci, nieraz na śmierć się gniotą.

Cygańska rada. Przyjechał góral do Myślenie i stanął przy przekupce. Zapachniały mu świeże kielbasy, ale nie miał grosiwa, aby ich sobie kupić do suchego placka. Przegryza więc placek i co chwila zbliża się do stragana i wącha kielbasę. Zniecierpliwiona przekupka łapie za kapelusz i nie chce oddać. Góral poszedł skarżyć, lecz nikt rozsądzić nie umiał. Zjawia się wreszcie cygan i rzecze: — Ja rozsądzę. Czy masz gazdo pieniądze? Nie mam. — To ja ci pożyczę; włoż je do woreczka i dzwoń niemi przekupce koło uszu. Tyś się uawachał kielbas, ona na zapłatę niech się nasłucha brzęku pieniędzy. — Stało się, jak cygan poradził i kapelusz góralowi oddać musiano.